

## MOŻE ODPRAWMY KLATĘ?

**Nikt reżyserom teatralnym nie broni pisania własnych sztuk, ale dlaczego muszą się pastwić nad cudzymi i jeszcze zasłaniać się nazwiskami znanych postaci, które są na afiszach? – pyta publicysta.**

Jacek Cieślak podjął się obrony Jana Klaty atakowanego za to, co dzieje się w krakowskim Starym Teatrze. To jednak charakterystyczne dla całej tej dyskusji: może 10 procent tekstu wskazuje na zalety dorobku Klaty jako dyrektora Starego.

Pozostałe 90 procent to rozprawa z jego krytykami. Kłata pada ofiarą stereotypów, sugeruje Cieślak. A sam, malując obraz przeciwnika, wojuje plakatowymi uproszczeniami.

### **Skandal przyciąga gapiów**

Zacznijmy od końca, bo jest najbardziej zaskakujący. Cieślak nie trzyma się, by nas przekonać do zalet teatru Klaty, bo jak powiada: „o gustach się nie dyskutuje. Każdy ma do nich prawo, co nie znaczy, że warto przerywać spektakle”.

Teza „o gustach się nie dyskutuje” jest zabójcza szczególnie w ustach krytyka. A na czym to, Jacku, polega twoja praca, jak nie na nieustannym dyskutowaniu o gustach, ba, na próbie ich podrzucania, ktoś by nawet powiedział: narzucania widzom? Gdyby się zadowolić konstatacją, że każdy ma swoją prawdę, którą może omawiać co najwyżej z żoną w domu po spektaklu, o teatrze nie warto by w ogóle pisać.

Żeby powiedzieć, co sądzę o nurzaniu krzyża w ekskrementach, nie muszę tego koniecznie oglądać

Oczywiście w stwierdzeniu Cieślaka jest coś z prawdy, bo i każdy ma indywidualną wrażliwość i te wrażliwości zmieniały się przez pokolenia. Próbuje się jednak nawzajem przekonywać, że dane teatralne przedstawienie ma sens lub go nie ma. Po drugie, w przypadku generalnej oceny dorobku teatru próbujemy to jakoś zakorzenić w gustach i opiniach publiczności, a także w zadaniach, w misji teatru.

Nie po to, aby coś delegalizować. Każdy ma prawo do własnego teatru z własną publicznością – trzeba by pewnie czegoś naprawdę strasznego, żeby mu tego odmawiać. Ale rozmawiamy o scenie narodowej, opłacanej przez podatnika i z tego tytułu obciążonej pewnymi obowiązkami, choćby edukacyjnymi.

Wyrażone ostatnio przez ministra Bogdana Zdrojewskiego przekonanie, że jedynym kryterium oceny dorobku takiej sceny jest „wolność artysty”, wydaje mi się głęboko chybione. Nie dawałbym takiego narzędzia do ręki komuś, tylko dlatego, że ten wie, co mu w duszy gra. Nawet kryterium frekwencji jest w przypadku takiego teatru częściowo zawodne. Skandal przyciąga gapiów, ale to nie oznacza, że zwiastuje ambitną sztukę.

Naturalnie, debata o tym jest trudna. Bo w grę wchodzi delikatne pytania: kto to ma oceniać i w oparciu o jakie kryteria. Czy polityk albo urzędnik jest lepszym strażnikiem swobodnego kompromisu, zdrowego rozsądku w świecie sztuki niż reżyser albo krytyk teatralny? Niemniej fakt wydatkowania publicznych pieniędzy utrudnia tu wojowanie podziałem na wtajemniczonych i profanów.

A wobec Klaty padło sporo mocnych słów nie tylko ze strony „świętoszków”, jak z właściwym dla tej debaty wdziękiem nazywa ludzi o prawicowych poglądach Cieślak. Że przypomnę wypowiedź posła PO i krakowskiego aktora Jerzego Federowicza, który postawił przed tym konkretnym teatrem całkiem inne zadania niż Kłata: propagowania, a nie profanowania klasyki. Przed nim jako jednym z kilku teatrów w Polsce.

### **Każdy wie, jak jest?**

Na podobne głosy Jacek Cieślak odpowiada odwołaniem się do mantry teatrologicznej korporacji. Oznajmia na przykład: „Każdy, kto bywa w teatrze wie, że klasyka poddawana jest przeróbkom”. Recenzent z „Gazety Wyborczej”, który polemizował kiedyś z moją krytyczną oceną przedstawienia „Sprawa Dantona” Stanisławy Przybyszewskiej reżyserowanego przez Klatę, poszedł dalej. Pouczył mnie, że prawo do nieograniczonych przeróbek nieżyjących, więc niemogących bronić swego intelektualnego prawa własności dramaturgów, została gdzieś tam przyjęta. Czyżby zadekretowana na którymś tam zlocie świata teatru jak niegdyś realizm socjalistyczny?

Nie trafia do mnie argument: każdy, kto bywa w teatrze, wie, że tak jest. To prawda, nie istnieje jeden muzealny wzorzec inscenizacji jakiegokolwiek dramatu. Ale to nie może oznaczać pełnej dowolności szatkowania, dopisywania, łączenia i przerywania happeningami dowolnych tekstów literackich. Najczęściej z taką dowolnością w parze idzie efekciarstwo, intelektualna pustka, skłonność do zgrywy, a czasem głupota. A przy okazji wyrządza się krzywdę i tym zmarłym ludziom, i samym widzom. Nikt tym panom nie broni pisania własnych sztuk, ale dlaczego muszą się pastwić nad cudzymi i jeszcze zasłaniać się nazwiskami znanych postaci, które są na afiszach?

Niezależnie zaś od tego, czy ja mam rację czy moi polemisi, pojawia się pytanie węższe: czy takie zabiegi powinny być szczególnym zadaniem teatru nazywanego narodowym? Szczególnym, bo Kłata i zapraszani przez niego reżyserzy robią to częściej i gorliwiej niż w innych teatrach.

Atakuje Jacek Cieślak krytyków Klaty jako ludzi, którzy pewnie nie chodzą do teatru, więc – w domyśle – używają tego tematu do ideologicznych rozgrywek. Z pewnością dziś każdy używa czegoś do swoich celów, debaty na tematy wszelkie stały się debatami na siekiery. Można podejrzewać, że wśród ludzi wyrażających swoje oburzenie są i tacy, którzy walczą nie z konkretnymi inscenizacjami Starego Teatru, ale z generalnym konceptem jego prowadzenia. Także tacy, których sam teatr interesuje się średnio.

## Nie tylko świętoszki

Jeśli jednak przyzna się teatrowi narodowemu inne zadania poza realizacją czyjejś wolności twórczej i ewentualnym zapewnieniem rozrywki, nawet takie głosy nie wydają mi się nieuprawnione. Pytanie o misję takiej sceny powinno być wstępem do długiej debaty, a nie dorywczych połajanek, rzecz w tym, że ludzie zaangażowani w temat zwykle słyszą od drugiej strony coś takiego: „Każdy, kto chodzi do teatru wie, jak jest”.

Skądinąd sama działalność Klaty i zapraszanych przez niego twórców sprzyja takiej pozamerytorycznej wymianie zdań. Jeśli ktoś tworzy rzeczy oparte na paru sztuczkach, grepsach, aktach zgrywy, niech się nie dziwi, że oceniają to także ci, którzy tylko o tym słyszą. Żeby powiedzieć, co sędzę o nurzaniu krzyża w ekskrementach, nie muszę tego koniecznie oglądać.

Dzisiejszy teatr jest zresztą oparty na paradoksie. Formalnym, często niczemu niesłużącym, trikom towarzyszy bardzo toporna, jednoznaczna ideologicznie publicystyka. Ta toporność i jednoznaczność prowokuje do replik. I chyba nawet o to chodzi samym twórcom takich przedstawień. Tak jest w przypadku „Bitwy warszawskiej 1920” Strzępki i Demirskiego i wielu podobnych prowokacji. Po namyśle nie dodałem przymiotnika: „intelektualnych”.

Jacek Cieślak demaskuje paradoks: Oto „świętoszki kanonizują obrazoburcę”. Chodzi o Konrada Swinarskiego, którego dziś przywołują ci, którym nie podoba się Stary Teatr pod rządami Klaty.

Możliwe, że gdy ktoś próbuje się dziś odwoływać do nazwiska Swinarskiego, ma na myśli bardziej tonącą w pomrokach dziejów i ugrzecznioną legendę niż realną postać. Ale czy tak jest w każdym przypadku? To nieprawda, że sympatia, nawet spóźniona, do jednego aktu nowatorstwa, a czasem obrazoburstwa, nakłada obowiązek popierania każdego nowatorstwa i obrazoburstwa jako zasady. Choć zacierzewieni nowinkarze próbują tu tworzyć ciąg: skoro akceptujesz Swinarskiego, musisz i Klatę.

Sięgając do przykładu ze świata polityki, ktoś, kto był przed laty za prawami wyborczymi kobiet, nie musi żyrować każdego późniejszego szaleństwa feministek. W świecie sztuki jest podobnie, nie ma i nie powinno tu być automatyzmu. Akurat spośród osób wypowiadających się o Starym Teatrze, tamtym i obecnym, widzę osoby, które na pewno wiedzą, o czym mówią.

Choćby pani Elżbieta Morawiec, z której książek uczyłem się kochać teatr w czasach, kiedy Jacek Cieślak chodził do podstawówki. Myślę, że ona jest wiarygodna. Kiedy przeciwstawia Swinarskiego, kontrowersyjnego obrazoburcę, Klacie – niedojrzałemu specjalście od hucpy, zasługuje przynajmniej na poważną polemikę, a nie na wrzucanie do worka z krotochwilnym napisem „świętoszki”. To samo dotyczy sensownych uwag Joanny Szczepkowskiej i wielu innych postaci, których Cieślak nie chce zauważyć.

## **Hamlet bez kupletów**

Odwołam się też do własnego przykładu. Nie będę się kreował na znawcę Swinarskiego – jego sławna „Nie-Boska” została wystawiona w dwa lata po moim urodzeniu. Ale parę jego przedstawień zdążyłem zobaczyć, ze sławnymi „Dziadami” na czele. I mam mnóstwo wątpliwości, zastrzeżeń, to tak naprawdę temat na oddzielny artykuł.

Ale Swinarski był autentyczny w swoim wadzeniu się z dramatem romantycznym, jak niegdyś Konrad wadził się z Bogiem. Per saldo służył też polskiej kulturze, ożywając zainteresowanie tym nurtem literatury, tak jak w inny sposób służył jej genialny popularyzator i czasem „spłycacz” Adam Hanuszkiewicz. Kłata i jego goście bawią się przedmiotami, których wartości zdają się nie rozumieć. A jeśli rozumieją, nie wiedzą, co z nimi zrobić.

Zdaję sobie sprawę, że pewne trendy zżerające tradycyjny teatr są uniwersalne i że trudno znaleźć kogoś, kto umiałby poprowadzić w dzisiejszych czasach narodową scenę. Ale jeśli tak, to może już lepiej żebyśmy się przestali bawić w jej imitowanie. Przyznajmy się otwarcie do tego, że jesteśmy za mało dojrzały, żeby pokazywać nowym pokoleniom skarby narodowej i ogólnoludzkiej kultury.

A może nie mam racji i należałoby zacząć od odprawienia Jana Kłaty, uznając, że to zadanie go przerosło? Krzysztof Kowalewski zapraszał nie tak znów dawno do Teatru Współczesnego na „Hamleta”, do którego nikt niczego nie dopisał, nawet muzycznych kupletów. Więc jednak można?

**Piotr Zaremba**

WYKORZYSTANO: RZECZPOSPOLITA